

Ktoś Cię kocha czy Tobą manipuluje? Sprawdź!

00:00:15:22

3

00:00:32:08

Agnieszka Szygenda

# WSZYSTKO GRA

Agnieszka Szygenda

## WSZYSTKO GRA

Ktoś Cię kocha czy Tobą manipuluje? Sprawdź!

*mojej Rodzinie*

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-44-6

Copyright © Agnieszka Szygenda

Projekt okładki: Marcin Labus

Foto na okładce: Anthony Shkraba, Pexels

## Prolog

– A ja też mam tatę!!! – dziecięcy, niespełna pięcioletni głosik rozpaczliwym tonem próbował przekonać kilku mężczyzn siedzących pod budką z piwem.

Nie wierzyli mu, to jasne. Wśród ogólnego pobłażliwego rechotu dziecięca rączka została pociągnięta w stronę drogi.

Tak, on też miał tatę, na pewno.

– Puść!!! No mówię, puść mnie, mamę!!! – Próbował się wyrwać. Chciał jeszcze wrócić tam, pod tę kolorową budkę, żeby poczuć tamtą woń. Zapach piwa. Tak pachnieli wszyscy mężczyźni: wujek, dziadek i sąsiad. I każdy tata kolegów z podwórka. Jego tatuś też, z pewnością.

Matka trzymała go mocno. Zbyt mocno, by mógł sobie poradzić z jej uściskiem. Żeby ją pokonać, uwiesił się na jej ręce i czekał, aż dłoń matki się podda. Nawet nie zauważył, że siatka wypełniona zakupami z pobliskiego straganu wypadła jej z drugiej ręki. Powinna teraz go puścić i pozbierać leżące na chodniku jabłka i pomidory. Przyklęła. Zamiast zbierać zawartość torby, z całej siły przytrzymywała teraz dziecko. Zabolące. Powoli zbliżyła twarz do dziecięcych oczu.

– Synku, syneczku – zaczęła cicho.

– Nic nie mów!!! – Nadal był rozżalony. Choć bardzo się starał, nie potrafił opanować drżenia brody.

– Kochanie... – chciała go do siebie przytulić.

– Nic mnie nie obchodzi, że mnie kochasz!!! – wykrzyknął i łzy potoczyły mu się po policzkach. – Chcę mieć tatę!!!

Zwiesiła głowę. W tym momencie nie wiadomo było, które z nich dwojga jest bardziej bezradne.

– Kocham cię – powiedziała. – Pamiętaj, że cię kocham.

W niewielkim pubie panowała kameralna atmosfera. Awangardowa muzyka sączyła się cicho z dobrze rozmieszczonych głośników, skutecznie zagłuszając bębniący o szyby wrześniey deszcz. Przez ogromną, zamkniętą ścianę z przydymionego szkła można było podglądać przechodniów. Co kilka minut jakiś obcy ciołek naciskał z zewnątrz klamkę. Jednak po przeczytaniu kartki wywieszanej na drzwiach cofał dłoń i rozczarowany odchodził. Ci, którzy siedzieli w środku, mieli z tego niezły ubaw. Napis „tylko dla klubowiczów za okazaniem kart członkowskich” skutkowało lepiej niż postawienie przy wejściu dwóch roślących ochroniarzy. Tak naprawdę każdy mógł tu wejść, a coś takiego jak karta członkowska nigdy nie istniało; przynajmniej żadna z osób siedzących w środku nigdy takowej nie posiadała.

Lokalizacja pubu w ruchliwym miejscu w centrum stolicy mogła przyciągnąć o wiele więcej gości niż zwykle, ale właścicielom lokalu nie zależało na przypadkowych osobach. Do „Kanapowa” – bo tak owo miejsce się nazywało – przychodzili stali bywalcy, którym odpowiadała przytulność lokalu. Właściwie wszyscy się tu znali, nawet jeśli ta znajomość była bardzo powierzchowna. Cennik wywieszony nad barem nie należał do najskromniejszych, ale ci, którzy tu przychodzili, zdawali sobie sprawę, że płacąc za drinka czy kawę, płacą głównie za brak przypadkowości i pewnego rodzaju elitarność. Bo to było coś – nacisnąć klamkę i przekroczyć próg pubu, wchodząc do środka jak do własnego mieszkania. To, że większość tutejszych gości miała własną chatę, było pewne. Można się było tego domyślić po markowych ubraniach i strzępach rozmów, które toczyły się przy stolikach. Zresztą nie ma się czemu dziwić – gdyby nie pewna zadziorność wobec życia i ponadprzeciętna pewność siebie, nigdy nie przekroczyliby tego progu. Cofnęliby dłoń jak większość po przeczytaniu kartki wywieszanej na drzwiach.

Barnaba, trzydziestopięcioletni atrakcyjny kawaler, siedział przy stoliku w kącie sali i przeglądał poranną gazetę. Co jakiś czas wykonywał nieznaczny ruch ręką, jakby chciał odgarnąć grzywkę z czoła, jednak w ostatniej chwili ją cofał, przypomniawszy sobie, że z pozoru niedbale opadające włosy są wynikiem ostatniego strzyżenia w najmodniejszym salonie fryzjerskim. Potrzebował kilku dni, żeby się przyzwyczaić do tej zmiany. Czekał teraz na śniadanie, które w tej chwili robiono dla niego w kuchni. Mógł sobie na to pozwolić. Był menedżerem w dużej firmie komputerowej i stać go było najadanie na mieście. W pustym mieszkaniu to żadna przyjemność, biorąc pod uwagę fakt, że brudne naczynia trzeba po wszystkim powstawić do zmywarki. Co prawda, pani Jadzia przychodziła dwa razy w tygodniu, żeby doprowadzić mieszkanie do porządku, ale to było wszystko, co mogła mu zaoferować. Przeglądał gazetę, ale wiadomości z pierwszej strony mierzyły go; nie znalazł nic, co na dłużej przykułoby jego uwagę. Na szczęście kelnerka przyniosła jajecznicę ze świeżymi bułeczkami. Wiedział, że za chwilę doniesie jeszcze aromatyczną kawę. Odruchowo spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pubu wszedł jego kumpel. Barnaba nie miałby nic przeciwko temu, żeby wyglądać jak Łukasz: typ „macho” z burzą ciemnych włosów i wypielęgnowanym dwudniowym zarostem. Przede wszystkim jednak to ostre rysy kumpla były przedmiotem skrytej zazdrości informatyka; jego samego natura obdarzyła raczej delikatnym typem urody i można byłoby to jeszcze przeżyć, gdyby nie jedno „ale”. To „ale”, które kazało Barniemu pracować nad własną sylwetką. I nie chodziło o powiększanie całkiem już sporych mięśni. Barni miał jedną wadę, której szczerze nienawidził i która go bardzo bolała. Miał coś takiego jak biodra i choć nie były to typowe biodra kobiece, to jednak sporo musiał się natrudzić, żeby ubiorem zakamuflować ten obrzydliwy mankament. Patrzył teraz, jak Łukasz zdejmuje płaszcz i umieszcza go na wieszaku. Nie musiał podnosić ręki, aby tamten go zauważył. To śniadanie było jak rytuał, przy którym mógł się spotkać z przyjacielem i obgadać „plan zajęć” na najbliższe wolne chwile. Wieczory przeważnie odpadały; w firmie siedzieli do późna, a noce były zarezerwowane dla ewentualnych kobiet, jeśli takie się nadarzały. „Nadarzały” to odpowiednie słowo. W życiu Barnaby ani Łukasza nie było czasu na stałe związki. A może

nie było potrzeby. Albo chęci. Dobrze było, jak było. Żyć, czerpiąc z tego, co oferuje nam świat, pełnymi garściami.

Łukasz przysiadł się do Barnaby, wcześniej zamawiając przy barze to, co kolega. Zamówienie było zwykłą formalnością. Gdy wszedł, kelnerka tylko przez chwilę przypatrywała się jego twarzy. Oceniając, że gość jest w „normalnej” formie, dała znak kucharzowi, by ten zaczął swoją pracę. Po dwóch minutach drugi zestaw śniadaniowy stał na stole.

– Przynieść jeszcze jeden dzbanek z kawą? – zapytała usłużnie, wygładzając dłońmi biały fartuszek.

– Poprosimy.

Kiedy odeszła, Łukasz spojrzał na Barnabę.

– Właśnie za to tak bardzo lubię to miejsce. Człowiek nie musi błagać, żeby dostać to, czego w danej chwili potrzebuje.

Barnaba ciągle próbował zapomnieć o opadającej mu na oczy modnej grzywce...

– Super ta jajecznicza, jedz, bo ci wystygnie.

Kiedy talerze były puste, kelnerka postawiła przed nimi dzbanek gorącej kawy.

Napełniła filiżanki i odeszła.

– Jest coś ciekawego? – Łukasz wskazał na gazetę.

– Chwała. Strata czasu. Zresztą... Jeśli masz ochotę, sam rzuć okiem...

Łukasz sięgnął po prasę i zaczął przeglądać nagłówki. Chyba znalazł dla siebie kilka ciekawych pozycji, bo nie odrywając się odjedzenia, zagłębił się w lekturze. Barnabie nie pozostało nic innego, jak skupić się na kawie. Delektując się jej smakiem, mimo woli zaczął wodzić oczyma za kelnerką.

– Niezła dupa.

Patrzył, jak kobieta zgrabnie porusza się między stolikami. Jakby była dobrze zaprogramowana. Stali bywalcy lokalu byli obsługiwani natychmiast.

Wygląda to tak, jakby miała w głowie specjalny chip, dzięki któremu można nią sterować – myślał dalej. – Jakby działała na pilota.

Jego wyobraźnia zaczęła pracować pełną parą.

Gdyby tak mieć w dłoni urządzenie, po naciśnięciu którego lalunia szłaby tam, gdzie chce, i robiłaby to, na co mam ochotę... – rozmarzył się. Jedno przyciśnięcie małego pudełeczka i bach – pani Kasieńka przychodzi do mojego stolika. Drugie naciśnięcie – i sunia opiera się biustem na stole, trzecie naciśnięcie...

– Co robimy w weekend? Jarema mówił, że może załatwić salę gimnastyczną. Moglibyśmy zagrać w kosza. – Łukasz przywołał kolegę do rzeczywistości.

– Nie mógł wymyślić czegoś bardziej oryginalnego? – mrukną! niechętnie Barni.

Czwarte naciśnięcie pilota i kelnerka idzie do kibla, piąte – rozpina Sarniemu spodnie, następne – pełna radości i oddania przyklęka...

Łukasz powiódł wzrokiem za spojrzeniem kumpla i roześmiał się:

– Myślałem, że się ucieszysz. Po takich wyczynach jak ciągle skoki na bungee czy ze spadochronem koszykówka byłaby miłą i atrakcyjną odmianą.

– Niedługo zacniemy grać w dwa ognie.

– To niezły pomysł, dawno tego nie robiłem. Masz jeszcze jakieś inne?

– Dyskoteka?

– A... tu cię boli. To dlatego tak się na nią gapisz? – nieznacznie wskazał na kelnerkę.

– Potrzebujesz kobiety?

– A ty nie?

– Ostatnio mam taki zapieprz w pracy, że nawet o tym nie myślę. Przynajmniej nie tak często jak powinienem. Ale kiedy się skończy ten pieprzony miesiąc...

– Widzisz, mówisz, że nie myślisz, a odruchowo mówisz o pieprzeniu.

– Powiedziałem „pieprzony”.

– No właśnie.

– Jarema nie chce iść do lokalu?

– Chce, chce, tylko ta grypa mu nie odpuszcza. Biedaczek siedzi przykuty do łóżka od dwóch dni. Mówi, że już go oczy bołą od spania.

– Takiemu to dobrze.

– No, nie wiem... Chociaż on da sobie radę. W dzień śpi, w nocy grasuje...

– Ma jakąś fajną pielęgniarkę?

– E... zaraz pielęgniarkę... Telewizor, komputer... to najlepsi przyjaciele w niedoli. Ale założę się, że nie traci czasu. Nie traci w tym sensie, że próbuje coś wyszukać na weekend. To dobry znak. Bo to znaczy, że ma wolę walki i wiarę, że lada dzień ozdrowieje. A jak wiesz, to głównie wiara czyni cuda... – Zaśmiali się.

– Muszę już iść. Mam dziś poprowadzić naradę zamiast starego.

– Może wpadniemy wieczorem do naszego biedaka? Pamiętasz, że ma dziś urodziny?

– O rany, dobrze, że mi przypomniałeś. Co prawda, nie wiem, czy się wyrobię. Ale zadzwonię, jeśli puszczą mnie przed północą.

– Ja i tak się do niego wybieram. Muszę mu kupić kilka piw, bo nadmiar witaminy C go zabije. Jeśli dasz radę, to spotkamy się u niego.

– Spoko.

Barnaba podszedł do bufetu. Wyjął z kieszeni pięćdziesiąt złotych i położył je na blacie.

– Proszę podziękować kucharzowi. Jajecznicą była wyśmienita.

Barman wydał mu resztę.

– Nie, nie, reszta dla pani Kasi, kelnerki. Nie dość, że zrobiła nam pyszną kawę, to w dodatku włożyła dziś ładną sukienkę. Miło jeść śniadanie, kiedy jest na kim zawiesić oko. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Jasne, dziękuję. – Barman bez ceregieli zgarnął resztę.

Barnaba i Łukasz skierowali się do wyjścia. Zarzucili na siebie modne tej jesieni płaszcze i wyszli na ulicę.

Szybko szli w stronę parkingu; w końcu deszcz mógłby mieć zły wpływ na ich modne fryzury. Na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie.

– Postaraj się wpaść wieczorem do Jaremy.

– Jeśli się nie uda, zdasz mi rano relację. Dryndnę i powiem, co i jak. I w razie czego przekaz koleśowi, że gry w kosza odpadają. Niech wysili mózgowicę, skoro leni się w wyrku. Niech wymyśli coś ekstra. Bieganie za piłką już nie podnosi mi adrenaliny. Tobie pewnie też nie. Rozumiem, że ten pomysł z koszykówką to wynik niżu myślowego spowodowanego chorobą. Jeśli uda mi się dojechać, sam mu to powiem. Nara.

– Nara, stary. I daj im popalić na tej naradzie.

Rozjechali się każdy w swoją stronę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPY PEŁNEJ WERSJI